

[Akceptuje](#)

W ramach naszej witryny stosujemy pliki cookies w celu świadczenia państwu usług na najwyższym poziomie, w tym w sposób dostosowany do indywidualnych potrzeb. Korzystanie z witryny bez zmiany ustawień dotyczących cookies oznacza, że będą one zamieszczone w Państwa urządzeniu końcowym. Możecie Państwo dokonać w każdym czasie zmiany ustawień dotyczących cookies. Więcej szczegółów w naszej [Polityce Prywatności](#)

[Portal Informacje](#) [Katalog firm](#) [Praca](#) [Szkozenia](#) [Wydarzenia](#) [Porównania międzylaboratoryjne](#)
[Kontakt](#)



[Laboratoria](#)
[.net](#)
[Innowacje](#)
[Nauka](#)
[Technologie](#)

[Logowanie](#) [Rejestracja](#) [pl](#)

Newsletter

zapisz się



[Strona główna](#) > [Start](#)

Nauka - to tylko biznes?

- Niemniej na uczelniach więcej czasu poświęca się na zdobywanie środków nie tylko na rozwój, ale i bieżące utrzymanie. Tak jest i w sztuce - artyści zajęci są zdobywaniem pieniędzy, nie tworzeniem. Czy rolą kadry szkół wyższych jest zdobywanie środków do swojej pracy, czy praca twórcza? Bo pisanie wniosków o dofinansowanie z pewnością do takiej nie należy...

- Pani uwagi odnoszą się raczej do sytuacji u nas. Jeśli chodzi o uczelnie w wielu innych krajach, gdzie docenia się naukę, ten problem nie występuje, bo one są finansowane w wystarczającym stopniu, a pracownicy dobrze wynagradzani. Oczywiście, zadaniem naukowców - pracowników uczelni nie jest zdobywanie środków finansowych na utrzymanie uczelni i badania. To powinno obchodzić administrację uczelni, rząd lub sponsorów. Powinno, ale niewiele obchodzi. Apele o powiązanie uczelni z gospodarką ciągle przypominają wołanie na pustyni. Sadzę, że naukowcy na uczelni niechętnie biorą godziny ponadwymiarowe, może z wyjątkiem tych (głównie asystentów i adiunktów), którzy tylko tak mogą zwiększyć swoje dochody. A mimo tego i podwyższania pensum, pracownicy naukowcy znajdują jeszcze czas na własny rozwój naukowy. W przypadku artystów jest chyba inaczej. Rynek i popyt masowy, zwłaszcza ludzi bogatych (nowobogackich), wymusza na nich dostarczanie kiczów, by zaspokajać masowe gusta, tym bardziej, że to się opłaca i nie wymaga

większego wysiłku. Ale są różni artyści: jedni uprawiają sztukę przez duże S, inni przez małe. Pracownicy naukowcy też bywają różni: jedni ograniczają się do minimum wysiłku twórczego - z różnych powodów, inni dają z siebie maksimum, jednym zależy na powiększaniu kont bankowych, innym - na rozwoju własnym i nauki.

- Kiedy tworzono KBN wydawało się, że jest to dobre rozwiązanie, gdyż w jakiejś mierze miało dyscyplinować wydawanie pieniędzy na naukę. Tymczasem po kilku już latach okazało się, że naukowcy zamiast tworzyć coś pożytecznego, większość czasu spędzają na pisaniu wniosków o finansowanie. Sytuacja stała się kuriozalna wraz z naszym wstąpieniem do UE i ostatnio - przerwaniem wręcz finansowania badań na środki unijne. To wymaga jeszcze większego wysiłku związanego z pisaniem wniosków. Do tego dochodzi system finansowania uczelni ze środków krajowych, preferujący wyścig w publikacjach, fetyszyzowanie różnych rankingów, listy filadelfijskiej, etc. Gdzie tu miejsce na twórczość? A nawet dydaktykę?

- Tworzenie instytucji ponad potrzeby, takich jak np. KBN, służy przede wszystkim interesom urzędników tych instytucji. Natomiast przysparza papierkowej roboty naukowcom. Sam pisałem ileś wniosków o granty i wiem, ile to czasu i bzdurnego wysiłku zajmowało. A i tak dostawali je ci, którzy mieli znajomości, albo z innych powodów, zazwyczaj nie merytorycznych. W ogóle zlikwidowałbym KBN i ministerstwo nauki, bo żadnego z nich pożytku. Urzędnicy, wymyślając za biurkiem głupie pomysły, przeszkadzają uczelniom i naukowcom. Bo, do czego innego sprowadza się ich rola? To rak na ciele nauki! A biurokracja „unijna”, to jeszcze gorsze zło. Urzędnicy ułatwili sobie życie w kwestii przyznawania środków finansowych, korzystając z rankingów, głównie w oparciu o tzw. listę filadelfijską. Ale ta lista to wielkie nieporozumienie.

- Prof. Andrzej Wróblewski od kilkunastu lat przekonuje, że lista filadelfijska jest jednym miernikiem pozycji naukowca i nikt temu nie zaprzecza - chyba, że humaniści...

- Po pierwsze, jest on niekwestionowanym autorytetem w fizyce, ale nie w innych sprawach. (Niedawno temu pisałem w SN o nadużywaniu autorytetów.) Dlatego nie należy fetyszyzować jego wypowiedzi o kryterium oceny naukowców. Po drugie, nikt, to znaczy fizycy, bo im to odpowiada i być może kryteria filadelfijskie oceny ich prac zadowalają ich. Ale to wynika ze specyfiki fizyki, która jest „nauką ilościową”. Pozostali, przedstawiciele „nauk jakościowych”, czyli humaniści, znoszą cierpienie w milczeniu, świadomi słabszej pozycji. Przecież w świecie komercji liczą się tzw. nauki priorytetowe, tj. te, które w efekcie przysparzają zysk, a „przy okazji” coś odkrywają. Z humanistów, poza przypadkami powiązania niektórych z nich z elitami władzy i służenia jej, nie ma się większego pożytku.

A co się tyczy ilościowej oceny i liczby cytowań jako mierników naukowości i wartości rozprawy: gdyby oceniać prace naukowe Einsteina według listy filadelfijskiej, to nie zasługiwałby on nawet na doktorat za to, co napisał.

W moim odczuciu, całe zło w oświacie i nauce zaczęło się, odkąd wprowadzono kryteria ilościowe, wskaźniki ekonomiczne itp. dla oceny tzw. efektywności szkoły, pracy jej kierownictwa i nauczycieli, i zaczęto traktować naukę jak element sił wytwórczych, tak jak technikę, nastawioną na wynalazki, patenty i odkrycia użyteczne dla techniki, gospodarki i polityki. U nas zaczęło się to w czasach późnego Gomułki - w połowie lat 60., wzorem ZSRR. Teraz korzystamy z innych, „lepszych”, wzorów USA, a efekt taki sam, albo gorszy. Dawniej byle jaką szkołę pomaturalną w ZSRR i niektórych krajach socjalistycznych nazywano instytutem, a teraz - wzorem USA - uniwersytetem. (Np. w Czechach są 73 szkoły wyższe na 5,4 mln mieszkańców (z tego aż 9 uniwersytetów na Zaozi!), podczas gdy w Anglii liczącej 60 mln mieszkańców jest tylko 13 uniwersytetów.) Stąd te wiele tysięcy uniwersytetów na świecie, nieporównywalnych ze sobą, które wrzuca się do jednego worka filadelfijskiej statystyki. Podobną głupotą jest ustalone ministerialnie pensum dla wykładowców

i finansowanie uczelni w zależności od liczby studentów, a nie od potrzeb badawczych. Na ten temat można by napisać całą rozprawę naukową kwalifikującą się do rangi habilitacji.

- Niektórzy jednak zwracają uwagę, że fetyszyzowanie listy filadelfijskiej bierze się z nieznajomości jej charakteru. Ale ten fakt winien być znany urzędnikom konstruującym politykę finansowania nauki. Oni jednak od paru lat - z pomocą naukowców zgrupowanych najpierw w KBN, potem - Radzie Nauki - skutecznie wprowadzają takie kryteria oceny twórczości naukowej. Głosy inaczej myślących są niesłyszalne...

- No właśnie! Ostatnio wypowiadał się krytycznie prof. Lengauer z UW. Dla mnie jest jasne, dlaczego urzędnicy i niektórzy naukowcy przyzwyczajeni do widzenia świata przez pryzmat liczb fetyszyzują tę listę. Wynika to ze zwykłego lenistwa. Zawsze twierdzę, że lenistwo jest największym grzechem głównym. Po co wymyślać kryteria skomplikowane (jakościowe), skoro można korzystać z łatwych i prymitywnych - chociaż niekiedy ubranych w szaty skomplikowanych wzorów matematycznych algorytmów. A że są one niesprawiedliwe i nieadekwatne, to nikogo nie obchodzi. Jeśli Pani pozwoli, to chciałbym kilka zdań powiedzieć na temat listy filadelfijskiej. Przecież to jest dzieło sfabrykowane przez komercyjny Institute of Scientific Information, (część koncernu Thomson Reuters Corporation), nastawiony na zysk i zapewniający zysk instytucjom naukowym, zamawiającym opracowania. A dla komercji i za pieniądze robi się wszystko, nawet odpowiednie rankingi, promujące wybrane uczelnie i czasopisma. Lista filadelfijska jest formą ich kryptoreklamy. Dzięki niej wzrasta sprzedaż wyróżnionych czasopism i liczba studentów w wyróżnionych uczelniach. Z punktu widzenia metodologii lista ta po pierwsze, opiera się na wątpliwej wartości prawie Bradforda: „czasopisma najczęściej sprzedawane są najlepsze” (jeśli tak, to najlepsze są kolorowe brukowce i te, które stać na drogą reklamę!), a po drugie, narusza zasadę porównywalności. Jak można porównywać uczelnie bogate z biednymi i zestawiać je obok siebie w opracowaniach statystycznych? Np. University Yale, którego roczny budżet wynosi 2,31 mld \$ (kapitał trwały ok. 134 mld \$) z Uniwersytetem Śląskim, którego budżet wynosi „aż” 62 mln \$ i jest 9 razy mniejszy od kwoty przeznaczanej w Yale na badania naukowe (dane za rok 2008), przy czym Uniwersytet Śląski ma 34 tys. studentów, a University Yale tylko 11 tys. Poza tym narusza zasadę równości i sprawiedliwości: uwzględnia wyłącznie prace anglojęzyczne. Ci, którzy nie znają na tyle angielskiego, by pisać w native English, są dyskryminowani. W ten sposób lista ta jest elementem polityki imperializmu kulturowego USA.

- Na razie podstawy do niesprawiedliwej oceny mogliby mieć głównie humaniści, jednak i biologom, głównie botanikom też ten system nie odpowiada. Jak można byłoby - i czy to możliwe - wprowadzić inne kryteria? Na czym one miałyby polegać? Jak wyegzekwować od naukowców pracę twórczą i nie obarczać ich obowiązkami biurokratycznymi? Komuś się to udało?

- Ja wiem, że łatwiej jest krytykować niż tworzyć. Ale też wiem, że należałoby by się pokusić o wypracowanie jakiegoś kryterium systemowego, ilościowo-jakościowego, a nie małpować inne złe. Pomysłu na to nie mam, tylko zgłaszam postulat pod adresem tych, którzy się na tym znają. W porządnym kraju i uniwersytetach prace papierkowe wykonują pracownicy administracyjni i techniczni, a nie naukowcy, bo od tego oni są. U nas administracja uczelni, która rozrasta się, przerzuca całą biurokrację na naukowców, a ci ulegają temu. Gdyby egzekwowano od urzędników rolę służebną wobec naukowców, mieliby oni o wiele więcej czasu na badania i na rzetelne przygotowanie się do zajęć dydaktycznych. To jest zresztą złym obyczajem urzędników wszystkich instytucji u nas, dla których petent, klient, jest natrętem, którego trzeba szybko pozbyć się, zamiast pomóc mu. W przeciwieństwie np. do USA, gdzie urzędnik radzi jak załatwić sprawę, u nas z góry mówi, że nie da się niczego zrobić, bo albo chce łapówkę, albo mu się nie chce wysilać mózgowicy.

- Ale naukowcy boją się urzędników - panuje ciągle jakaś azjatycka obyczajowość

polegająca na schlebieniu władzy - bo władza ma pieniądze, wszystko może. Nawet jak są to nasze pieniądze.

- Ma Pani rację. Wszyscy ulegamy urzędnikom, bo oni górują, bo ich nie rozlicza się za ilość i skuteczność załatwionych spraw, tylko za godziny siedzenia za biurkiem. Ciągłe jeszcze nasze społeczeństwo tkwi w epoce feudalnej służalczości wobec czynowników. Stale myśli się, że to państwo, rząd daje pieniądze, chociaż je tylko redystrybuuje. Tak na marginesie: jak mi ktoś mówi, że państwo robi mi łaskę wypłacając mi emeryturę i że moje dzieci, wnuki pracują na moją emeryturę, to mu odpowiadam, że w swojej 55-letniej pracy wypracowałem odpowiedni kapitał, który państwo skonsumowało (raczej roztrwoniło) i powinno mi wypłacać to, co wniosłem do dochodu narodowego w wyniku swojej pracy i w postaci składek emerytalnych plus odpowiednie odsetki, a nie traktować mnie jak darmozjada.

- Ale ta siła, moc urzędników rośnie w miarę globalizacji i zalewa zatruwając obszary życia społecznego, które dotychczas miały charakter twórczy. Jaką będziemy tworzyć naukę i sztukę, skoro wszyscy zajmą się biurokratycznymi czynnościami? W PRL narzekaliśmy na biurokrację, ale przecież artyści mogli tworzyć wspaniałe dzieła, dzisiaj niemożliwe. Miałość kultury i nauki w czasach biurokracji globalnej zabija cywilizację...

- Efektem nie tyle globalizacji, co postępu technicznego jest translokacja siły roboczej ze sfery produkcji i twórczości do sfery usług. Stąd też lawinowy wzrost administracji. Artyści nie tyle nie mogą tworzyć wspaniałych dzieł, ile im się to nie opłaca. A i tak mają szczęście, że w sztuce nie obowiązuje jakaś lista filadelfijska, tylko prawa rynku. W PRL każdy miał zapewnioną egzystencję na jakimś poziomie i nie musiał bać się o swój byt socjalny. Bogacenie się za wszelką cenę nie było modą, wzorem, ani celem. Wobec tego nie trzeba było uczestniczyć w wyścigach szczurów i pogoni za zyskiem, i dlatego można było zajmować się twórczością, a nie chałturzeniem.

- Czyli rozwój kraju i świata widzimy w urzędach? Młodzi powinni kupować sobie już zarękawki?

- I tak robią. Proszę zwrócić uwagę na to, jakie kierunki studiów wybierają - zarządzanie, psychologię, politologię i te, które lokują ich w sferze usług albo władzy. A jeśli nawet kształcą się w innych dziedzinach, to i tak z myślą o założeniu własnej firmy, żeby sami nie musieli wykonywać czarnej roboty, tylko zatrudnić innych, najlepiej w krajach trzeciego świata. Do czarnej roboty zatrudnia się gastarbeiterów, albo ludzi z krajów biednych, gdzie siła robocza jest tania. I to tak długo będzie możliwe, dopóki nie wyrównają się potencjały ekonomiczne wszystkich państw, co chyba wkrótce nastąpi dzięki przyspieszanej globalizacji. Wystarczy popatrzeć na rozwój Chin, które już dorównują potencjałowi USA. A w nauce od czarnej roboty są asystenci.

[Sprawy Nauki](#)

<https://laboratoria.net/home/11287.html>

Informacje dnia: [Nowy wzór elektronicznej legitymacji studenckiej Kleszcz to tylko pośrednik Pod względem leczenia czerniaka Polska w czołówce Europy Przyszłość pszczół zależy od ochrony ich naturalnych siedlisk Powstała niewidzialna elektroda dla podczerwieni Choroby serca mogą zaczynać się już w czasie życia płodowego Nowy wzór elektronicznej legitymacji studenckiej Kleszcz to tylko pośrednik Pod względem leczenia czerniaka Polska w czołówce Europy Przyszłość pszczół zależy od ochrony ich naturalnych siedlisk Powstała niewidzialna elektroda dla podczerwieni Choroby serca mogą zaczynać się już w czasie życia płodowego Nowy wzór elektronicznej](#)

[legitymacji studenckiej](#) [Kleszcz to tylko pośrednik](#) [Pod względem leczenia czerniaka](#) [Polska w czołówce Europy](#) [Przyszłość pszczół zależy od ochrony ich naturalnych siedlisk](#) [Powstała niewidzialna elektroda dla podczerwieni](#) [Choroby serca mogą zaczynać się już w czasie życia płodowego](#)

Partnerzy